№ XX. 3. Cena 2 m

Łazik

NA GÓRNYM SLĄSKU.



Niemiec do przedstawiciela Ententy: Panie aljant, co tam ten polak zawraca nam głowę jakąś statystyką ludności! Ja proponuję interes węglowy, na którym miljony zarobicie.

14 LISTOPADA 1918.

Mówili głośno na rynkach Europy,
Że nikt nie dźwignie wieka Twej trumny,
Że los roztrzaskał Twej sławy kolumny,
A hańba w pierś Twą wdeptała swe stopy.

I Twoje imię, jak z ogrodów ziele,
Precz wyrzucili ze wszystkich kart świata,
Choć krwią pisałaś swój honor przez lata,
A żagiew buntu dymiła w popiele.

Na zamku królów berlińskie szalbierce
W nowe Cię kroić myśleli znów kształty
I pieczęć kładąc pod zbrodnie i gwałty,
Piąty listopad zatknęli w Twe serce.

Wodzowi, który szatańskie zgadł plany,
Włożyli więźnia łachmany żebracze
I depcąc honor, bezbożne krętacze
W Brześciu ostatnie nam kuli kajdany.

Polsko! Cud jaki mocarzy dał młoty,
Co Twoich kajdan rozkuły łańcuchy
I z szalejącej zemsty zawieruchy
Wydobył promień wolności Twej złotej?

Myśmy rękami podnieśli Cię z trumny,
Bez broni idąc po cudu spełnienie.
I miast granatów uliczne kamienie
Płomień krzesały w tej walce piorunnej.

W listopadowe dni wznieśli my pięście
Na bagnet pruski, kule i armaty.
Krwi naszej młodej rzucili my kwiaty
Polsko, pod jasnej wolności Twej szczęście!

Niech mówią jutru ulice Warszawy,
Wszystkie przedmieścia i wszystkie zaułki,
O tem, jak poszły bezbronne Twe pułki
Wybijać wrota potęgi i sławy.

Jan Ruff.

MARSZ PUŁKOWY.

Pułk przez miasto klawo sypie,
Stróż ci kuchtę w boczek szczypie:
— Frajdy będzie mało wiela.
Zaraz zagra ci kapela!

Jakby na ten zaszczyt Kachnie,
Kapelmajster kijem machnie.
Odezwała się muzyka,
Że aż w ciele dusza skika!

Pan pułkownik, zuch nad zucha,
Puszcza gędźbę kiele ucha:
Oziębłości wszak wymaga
Jego szarża i powaga.

Końmi za to adjutanci
Całkiem jakby poszli w tan ci;
Koń, to mądra ci cholera!...
Do oberka nogi zbiera.

W poruczniku dech zaś kona,
Bo przez okno patrzy... ona:
Przed kompanją nogi stawia
Z wielkim szykiem, nakształt pawia.

Sierżant (gniewny, bo żonaty)
Ostrem okiem karci braty:
— Dam ci chodzić z nogi prawej,
Ćwoku, ośle ty niemrawy!

Rżnie muzyka, jakby wściekła,
Za nią poleźćby do piekła!
Plutonowi z kapralami
Już gotowi wściec się sami.

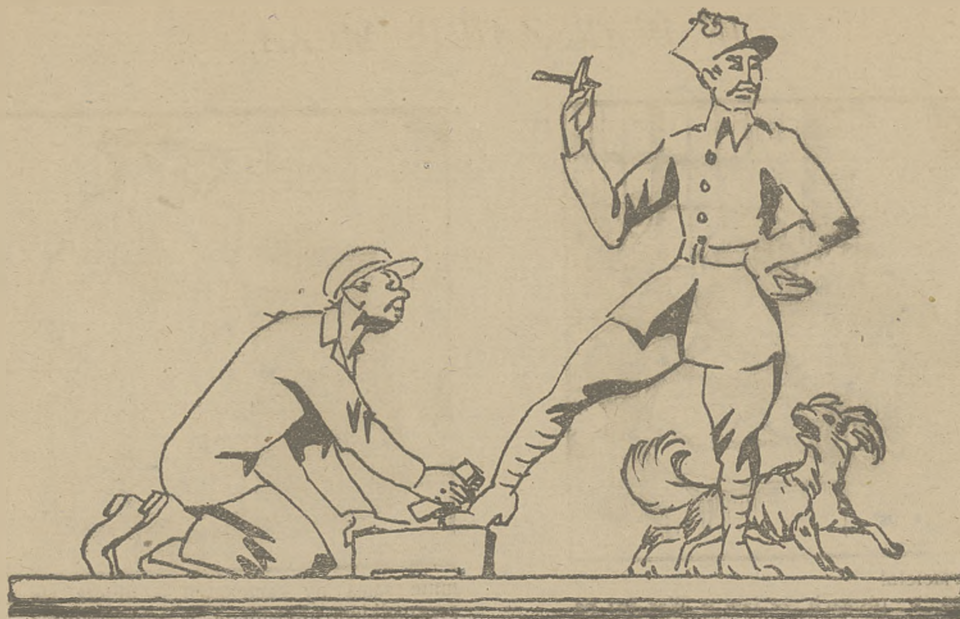
Ćma żołnierska, matek syny,
Kwiat wetknęli w karabiny,
Strasznie srodzy — zaś z ukosa
Chapią z tłumu papierosa.

Idą równo, niema rady,
Sakramenckie nawet dziady,
Bażantowi ci rekruci:
Marsz i tym się w nogi rzuci!

Przy kapeli, djabli niosą
Cywilbandę w butach, boso,
Eleganta i andrusa,
Bo za duża jest pokusa.

Z koszem tłoczy się kuchara,
Z miotłą stróż w takt iść się stara,
Niańka z dzieckiem, żebrak z kijem:
— Ile marsza, tyle żyjem!

Francesco.



— Psiakrew!... dziś se buty glancuję, a jutro wychodzę z wojska i nie wiem, co będę robił...

— Nie masz pan zajęcia? To proszę mi złożyć ofertę, bo właśnie szukam administratora do mojej kamienicy.

JAKOŚ TO BĘDZIE.

Wojenne przeszły męki
i ciężkie lata burz.
Choć jeszcze skromniuteńki,
pokoik mamy już.
Nie traćmy więc nadziei:
bo skoro wróg obalon,
pokoik się wyklei
i będzie z niego salon.

Znów każdy siędzie na swojej grzędzie
Zmartwień o Polskę mielim dość.
Naco łeb suszyć? Jakoś to będzie:
zaczniemy teraz w pierze rość.

Na front ci iść nie każą,
nie robią żadnych kwest
i człek z cywilną twarzą
spokojny znowu jest.
Niech tylko w Maje Trzecie
z sztandarem gna piechotą,
opiszą go w gazecie
i zrobią patrjotą.

Machniem orędzie i staniem w rzędzie
starego świata nowych sił...
A zresztą, głupstwo!... jakoś to będzie,
byle z nas Lloyd George kontent był.

Choć ludność jeszcze sarka,
że drogo płaci chleb,
że dalej spada marka,
pożyczki biorą w łeb...
Lecz wszystko to—baj-baju...
Nikt prawdy nie ogarnia,
że dziś jest w naszym kraju
Krezusów wylęgarnia.

Dadzą ci wszędzie za chwast, żołędzie,
co zechcesz, ino cenę wal.
Więc co tu gadać... jakoś to będzie...
Nie bieda u nas — raczej bal.

Gdy milknie wojny echo,
i krwi spłacona dań,
pospieszyć trza z pociechą
do pięknych naszych pań...
Choć nawet legjonistką
nie była, lecz się zwierza,
że poświęciła wszystko,
ach, wszystko dla żołnierza.

Więc ślad po błędzie, surowe sędzie...
zadrosny mąż, języki złe...
Ach, co to będzie?... Jakoś to będzie —
...ułan bez ostróg rodzi się.

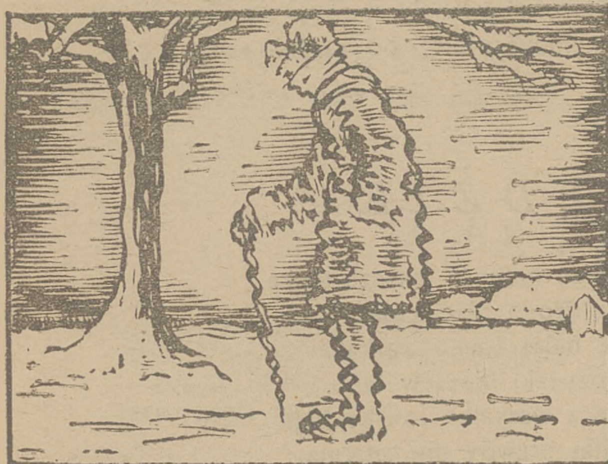
Benedykt Hertz.

LIST PANI HENRIETY GRANDSOUCI DO BAWIĄCEGO W WARSZAWIE MĘŻA.



Mój drogi przyjacielu!

Właśnie czytam w pismach, że tam u Was już nastała zima. Ta polarna, okropna zima, o której tyle strasznych rzeczy dowiedziałam się z pamiętników Nansena.



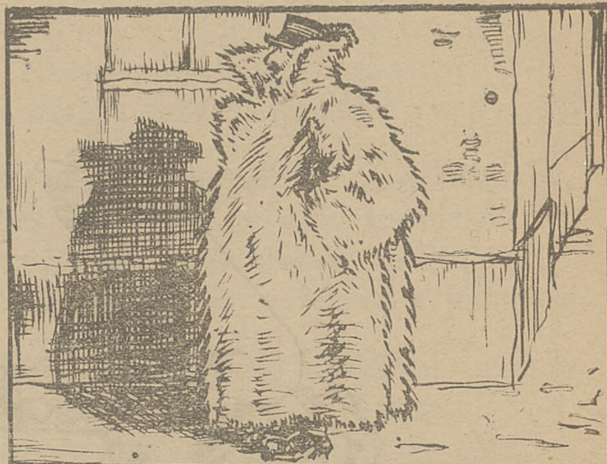
Wyobrażam sobie, jak ty tam drżysz, biedaku, w swoim lekkim paltociku, dobrym w Paryżu, ale nie w podbiegunowej Polsce.

Obawiam się też, byś nie utonął w śniegu, który tak zasypał Warszawę, że tylko czubek kolumny króla Zygmunta widać — i żeby nie zjadły cię wilki, które, podobno



wałęsają się po Krakowskiem Przedmieściu, wyjąc z głodu, jak starsze śpiewaczki naszej opery.

Posyłam ci więc kostjum lapoński, uszyty podług wskazówek Nansena i proszę cię, nie wychodź inaczej na ulicę, jak tylko porządnie zapięty od góry do dołu. Zwłaszcza, gdy będziesz oglądał zorzę polarną — widok ten



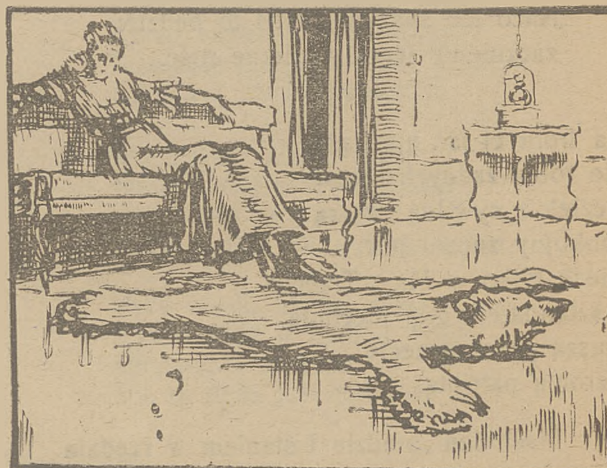
mnie samą by zaciekawił — ubierz się ciepło, żeby się przypadkiem nie zmienić w sopel lodu.

Tak opatulony, będziesz mógł, przypuszczam, trochę poznać okolice Warszawy. Wówczas może gdzie za rogat-



kami spotkasz białego niedźwiedzia.. A że masz temperament prawdziwego Nemroda, nie wątpię, że skorzystasz z okazji i zapolujesz na tę par excellence polską zwierzynę.

Choć lękam się niebezpieczeństw, połączonych z tą rycerską rozrywką, bardzo by mi było przyjemnie, gdybyś przysłał skórę białego niedźwiedzia. Kazałabym zrobić so-



bie z niej do mego buduaru dywan, a patrząc nań, myślałabym o tobie i bodaj w wyobraźni dzieliła trud twej ofiarnej służby na polskim froncie. A propos! Czy nie widziałeś mego kuzyna Piotra Morceau? Jest podobno także w waszych stronach, gdzieś koło Irkucka...

Twoja zawsze cię kochająca żona.

KAPRAL I OCHOTNIK.



Po mobilizacji: — Co to za robota! Piórko panu do ręki dać, a nie miotłę!



Po demobilizacji: — Co to za robota! Miotłę panu do ręki dać, a nie pióro.

CO MOWI ŁAZIK?

Kiedy mam już iść do cywila, trza pomyśleć, skądby tu forsę zdobyć... Bo to gada się na tę służbę, gada, a przecież człowieka głowa nie boli ani o wikt, ani o przyodziewek, ani o dach nad głową... Ma recht ony filozof, co powiedział.. Jak to on powiedział? Tak jakoś po łacińsku... a ha! — „niema prefeta a partja wsuwa", czyli każda strona ma dwa medale.



Ale tera w Polsce o bogactwo nie trudno. Nawet powiadają, że niedługo zostaniemy najbogatszym narodem na świecie, bo co tydzień będzie nam jeden miljoner przybywał. I to taki ni z pierza, ni z mięsa... W piątek ci jeszcze dziadyga w sfatygowanych majtasach lata, a w niedzielę już graf pirsza klasa: na girach żółte boksy po kolana, w sklepie dwa fonty boczku każe se odrazu zawinąć, w mieszkaniu ręczne lanszafty olejno wyglancowane, a tu mu ci jeszcze własny nieprzymuszony grafomon ojrę nad uchem skrzypi.. Jednem słowem gentelmentel, że niech się sam Skurczony lord za parawan schowa.

W pierwszym tygodniu nic nie wygrałem. Okrutniem się zmartwił. Ale jakże miałem wygrać, kiedym se biletu nie kupił? Mam wprawdzie bilet, ale wizytowy, i to nie mój (bo skądże?), tylko tego kapitana, u którego bez cztery dni pomyłkowo za ordynansa służyłem — więc teraz już umyśliłem prawdziwą sobie pożyczkę premiową kupić.

Ino skąd gotiu wziąć?

Umarł wprawdzie jeden stryjek, co kamienicę ostawił, ale po pierwsze chałupa grosza nie daje, a nieboszczyk, mówią, na głodno kopyta zadarł; zaś po drugie, chociaż był stryjek, ale nie mój, ino takie sobie miał nazwisko: Mateusz Stryjek. Za to mam jednę cioteczno-wujeczną babkę, co w przytułku dla paralityków na kapitale siedzi. Majątku wprawdzie stara nie posiada, ale jej została na grzbiecie dziurawa chustka z tureckim deseniem. To — powiadają — za taką chustkę tera rozmaite antykwarjaty tysiącami płacą... Więc z całą famielją niecierpliwie czekam, żeby się stara wykopyrtnęła.

Tymczasem poleciałem do jednej znajomej akuszerki, co umie kabały stawiać i pytam, jaki jest mój numer. Gadało babsko godzinę o liście w drodze, o niespodzianem widzeniu i że jakaś brunetka leci na blondyna, ale z tego nic nie będzie, więc mogę się nie martwić... I rychtyk, prawda! Jakem w zeszły wtorek był z Mańką w kinematografie, to się cholera ciągiem o Staśka czochała, że mało mnie szlag nie trafił. Ale nic z tego nie wyszło, bo się Stasiek potem schlał, jak zwierzę, i do rana konferencje rygskie po kątach robił, aż Mańce całkiem obrzydł. Więc nakoniec ta akuszerka mówi, że tera jesteśmy pod znakiem koziorożca, to znaczy, że trójka dobra i piątka dobra, zaś najlepsza dwójka, a jeżeli się trafi zero — brać, bo może się pokazać, że nawet siódemka albo ósemka wyjdzie, jeśli szóstka i dziewiątka zawiedzie.

No i miała rację. Zara w pierwszem ciągnieniu wszystko się sprawdziło. Wyszedł numer 2.358.075.

Więc teraz już koniecznie muszę sobie miljonówkę kupić. Choćby do spółki. Jeżeli kto z czytelników chce się przyłożyć — bardzo proszę. Jak się w jednym tygodniu nawet nie wygra, to zara następnej soboty można mieć nadzieję. A przecież, u licha, ktoś wygrywać musi: nie ten, to tamten i zawsze może na mój numer paść. Zaś miljon to miljon! Oho! nie w kij dmuchał. Żeby tam w Szwajcarji na funty już nasze marki rachowali, to jeszcze z całego miljona będzie ładny grosz i człowiek już biedy nie zazna. A za taką jednę podartą chustkę z tureckim deseniem można dziś kilka miljonówek dostać.

No, nie trafunek to?

W SĄDZIE.

Sędzia. O cóż wam poszło, żeście oskarżyciela tak mocno pobili?

Oskarżony. A to, prosze pana sędziego, Waciaszek zaczął mnie przezywać od różnych bestji rogatych, powiedział na mnie dwa razy małpa i jeden raz ubliżył od takich synów. Zmilczałem, rozumując sobie, że człowiek urżnięty nie wie, co gada. Ale jak mnie nazwał czeskiem nasieniem, to już nie mogłem darować tej hańby i lunąłem go w pysk.

NA POSTOJU W MIEŚCIE.

— Mazurkiewicz, bój się Boga, jak ty wyglądasz? Prosiłeś o zwolnienie na noc z obozu, wysłuchałem twojej prośby, a ty w jakim stanie powracasz? Oczy podbite, cała gęba podrapana, włosy na łbie powichrzone. Gdzieżeś się schlał? — Nie schlałem się, panie sierżancie. Pochodzę właśnie z tego miasta i wszyscy mogą zaświadczyć, że nie jestem trunkowy, tylko żonaty.

Z ROZMOW TELEFONERA.

Raz żona Telefonera wyjechała na kurację do Ciechocinka. Telefoner postanowił jadać w restauracji. Wybrał więc koszerną restaurację na Nalewkach i umawia się z właścicielem.

— Ja panu zapłacę specjalnie — mówi — tylko mi pan daj codżennie czysty obrus. Już ja szę tak poczebowałem w domu przizwiczaić.

Rzeczywiście, pierwszego dnia obrus był śnieżnej białości. To samo drugiego i trzeciego. Aliści na czwarty dzień serweta wyglądała, jak mapa, umalowana we wszystkie kolory sosów i tłuszczów.

Oburzony Telefoner woła:

— Co jest, panie starszy? Co pan mi za serwete potrzebowałesz dacz?!

Na to restaurator:

— Mój panie, ja przez pański bzik całe publike strace. Mnie sze wszystkie pitają, czy to jest żydowska restauracja, czy nie? Od pańskie białe serwete moje goszcze stracą apetyt.

*

Przed samą demobilizacją Telefoner został starszym żołnierzem. Wielce dumny idzie ulicą i spotyka generała S.., któremu nie zasalutował.

— Stać! — woła generał — czemu starszy żołnierz nie salutuje. Do paki was zamknę!

— Panie gienerale, pslepraszam bardzo, ale jak mi, szarże, zaczniemy sze kłócicz, to z całe wojsko nic nie będzie.

*

Raz z tajemniczą miną wchodzi Telefoner do kawiarni na Dziką.

— Co taki ważny? — pyta go Kurcszwanc.

— Ty sze pitasz? Ja poczebowałem zginącz w pojedynku.

— Jakto?

— Nu, ja rano miałem miecz pojedynek. To ja potrzebowałem zginącz z wydoku. Niech uni mnie do szmierci szukają.

*

— Telefoner! Co u ciebie tak szmierdzi w mieszkaniu?

— To róże.

— Jakto, róża przecież pachnie?

— To moja Róże zmienia dzisz pończochy.

*

— Kurcszwanc, ja mam dla ciebie jedne zagadke. Ty powidz, co to za stworzenia: mają cztery nogi i dają mleko?

— Krowa.

— Uj, ty ydjota. To są dwie mamki.

*

— No a powiedz, co to za zwierze: stoi w stajni, żre szano ze żłób i widzi z tyłu jak z przodu?

— Nie wim.

— To jest szlepy osioł.

*

— Hozenpud, ty powiedz jakie są najgorsze ludże na szwecie?

— Złodzieje.

— Idż, ty frajer. Niemcy! bo uni by wszystko brali. Uni na szebie mówią „dajcze". Polaki mówią na nich „nehm zy"*). A francuzy „alle meine"**)

PRZYSŁOWIA.

Kto chce kijem uderzyć, ten psa znajdzie.

Żeby ciotka miała mundur z igły i buty za 5000 mk., to byłby łazik.

Zapomniał wół, jak rekrutem buł.

Tak legun kraje, jak mu chleba staje.

Jak to na spacerze ładnie, gdy powijak z nogi spadnie!

NA ULICY.

Żołnierz przyjezdny z frontu pyta jakiegoś pana.

— Przepraszam pana, gdzie jest ulica Sienna.

— Psia... a... a — krr-e-e-w! W Wa-a ar-sza-wie mie-mie-mieszka pół-półto-ora mi-i-i-ljona lu-u-u-dzi, to pa-a-an a-a ku-u-rat musia-siał na-a-a mnie na-a-trafić, kie-e-dy ja-a-a się ją-ją-kam.

---

*) Nehm zy — biorę z powrotem. **) Alle meine — wszystko moje.

M A D E L O N

(Dokończenie).

Niemcy wywlekli dziewczynę z wózka i zaczęli ze sobą żywo szwargotać. Z początku Madelon nic wyrozumieć nie mogła, o co im chodzi. Ale niebawem wymiarkowała, że Hans, starszy, chce gdzieś odesłać młodszego Karla, ten zaś broni się i proponuje to samo Hansowi.

— Aha! — pomyślała — każdy z nich ma ochotę sam na sam tu ze mną zostać.

Widząc zaś, że Karl kapral stopniowo ulega plutonowemu Hansowi, zaczęła do młodszego robić tak słodkie oczy, że prusak sprobował jeszcze raz opór stawić przełożonemu. Długi, kościsty, zbliżył się do przysadzistego Hansa i jął tak gwałtownie wymachiwać rękami, że zdawało się — zaraz bić go zacznie. Ten jednak nasrożył się, wyprostował i wypowiedziawszy kilka słów głosem komendy, odszedł ku domowi. Po chwili znikł w jego wnętrzu.

Karl zaklął i zwiesiwszy głowę, spoglądał na dziewczynę, jak pies odpędzony od gnata.

Znów uśmiechnęła się do niego.

Więc zaczął łamaną francuszczyzną:

— On kanalja... on sze czepi... on topie kce kfalt... Ty nie taj sze.

— Dobrze, nie dam się.

— Se mnom lepi...

— Naturalnie. Z tobą co innego. Ty przynajmniej mówisz po francusku, jak hiszpańska krowa.

— On nie mófi... On nic nie umi, tylko...

Tu zakończył gestem, mającym pokazać co Hans jedynie potrafi.

— To zostań ze mną — szepnęła Madelon, posyłając szwabowi jeszcze jeden czarujący uśmiech.

— Nie moke, ale fróce... Fróce! — powtórzył, grożąc pięścią w stronę domu. Siadł na wózek Madelon i odjechał.

— Prędko wracaj. Będę czekała.

Wkrótce po odejściu Karla, Hans uchylił drzwi zbliżył się do dziewczyny i popchnąwszy ją mruknął: „Vorwärts, marsz!".

Znaleźli się w małej izdebce.

Prusak rozwiązał dziewczynie ręce i uśmiechając się lubieżnie swym szerokim pyskiem buldoga, pogłaskał szorstką łapą po twarzy.

Potem wpakował obie ręce do kieszeni i przyglądając się Madelon, zaśmiał się dobrodusznie:

— He-he-he!...

— He-he-he!... — odpowiedziała podobnie dziewczyna. Po chwili zaś odezwała się po niemiecku-

— Will essen — (Chcę jeść)

— Ich auch — (Ja także).

Pozwolił jej rozpakować zapasy, znalezione na wózku, a Madelon ze zwykłą swobodą zabrała się do przyrządzenia uczty.

Wyłożyła na stół chleb, konserwy, wreszcie postawiła dwie butelki wina, na których widok niemiec aż się oblizał.

Zabrali się do jedzenia. Ale Madelon tak zręcznie manewrowała, tak zapraszała uprzejmie, że zanim wypiła sama jedną szklaneczkę wina, szwab już ich pięć wytrąbił; a choć coraz natarczywiej brał się do całowania, patrzał jednak coraz mętniej i ruchy miał coraz mniej pewne. Wówczas Madelon odkorkowała trzecią butelkę i nalała całą szklankę koniaku. Znów się trącili. Wypił duszkiem i miał dosyć.

Zaczął coś długo opowiadać, śmiać się głupkowato, język mu w gębie chodził, jak kołek, oczy zasliniły się zupełnie. Wziął ciągnąć dziewczynę ku ceratowej kanapie, ale, odepchnięty, sam się na nią zwalił i po minucie chrapał, jak skrzypiące wrota.

Ściemniło się. Madelon cichutko wybiegła z izby i wlazłszy na jakąś beczkę, stojącą w sieni, czekała, co będzie.

Wtem usłyszała turkot wózka.

— Karl wr[illegible]a — pomyślała.

Ktoś już kręcił się koło domu, a wkrótce doleciał ją stłumiony głos:

— Czefczyna, czefczyna, kcze jestesz?

Wróciła cicho do izby, w której spał twardo Hans i zawołała przez okno:

— Tutaj, tutaj, śpię na kanapie.

Szybko skryła się znów za beczkę i nasłuchiwała z bijącem sercem.

Przez sionkę przesunął się długi cień, skrzypnęły drzwi, a potem nagle rozległ się w izbie dziwaczny hałas.

— Was ist das?

Plutonowy Hans nie mógł zrozumieć, czego ktoś chce od niego; kapral zaś darmo szukał tego, co chciał znaleźć.

Jak się to skończyło, Madelon nie wie. Korzystając z chwili, skoczyła na wózek, a konik, usłyszawszy znany sobie głos, pomknął, instynktem wiedziony, w stronę francuskich okopów.

SKRZYNKA DO LISTÓW.

Otrzymaliśmy list następującej treści:

SZANOWNA REDAKCJO.

Po tylu trudach i bitwach wreszcie mamy chwilę wypoczęcia, to też korzystając z okazji udajemy się do Redakcji „Łazika", w celu zaskarbienia sobie chrzestnych matek, gdyż wiadomo, że korespondencja dla żołnierza jest najprzyjemniejszą rozrywką.

Które z pań WARSZAWIANEK zechciałyby nas pocieszyć i dodawać energji żołnierzom, którzy od dwu lat przebywali stale w okopach?

Mamy nadzieję iż prośba nasza znajdzie posłuch w szlachetnych sercach nadobnych WARSZAWIANEK.

ADRES: Kancelarja Sztabu Białoruskiego pułku strzelców W OZORKOWIE.

Czekamy odpowiedzi.

WARSZAWA 14-GO LISTOPADA 1[illegible]r.

Redaktor odpowiedzialny: S. Michalski.

Wydawca: Tow. Akc. „ŁAZIK" Druk S. Michalskiego Chmielna 60.